



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 78

SUDSKI

O WARTOŚCI ŻOŁNIERZA LEGJONÓW

„I G N I S”

O WARTOŚCI
ŻOŁNIERZA LEGJONÓW

KOBOS TADEUSZ

L. _____

/226.



JÓZEF PIŁSUDSKI

O WARTOŚCI
ŻOŁNIERZA LEGJONÓW

*Odczyt wygłoszony we Lwowie na „Drugim
ogólnym zjeździe Legionistów”
w d. 5 sierpnia 1923*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”
(E. WENDE i S-ka) SP. AKC. WARSZAWA 1923

Odbito 30 egz. na papierze czerpanym

Pierwszy — piąty tysiąc

Prawa przedruku, przeróbek i tłumaczeń zastrzeżone

Druk. „Rola” J. Buriana, Mazowiecka 11

Szanowne Panie i Panowie!

Z niezwykłą przyjemnością poruszam temat o wartości wojskowej żołnierza Legjonów. Przez dziesięć lat, będąc najprzód dowódcą oddziałów legjonowych, a potem Naczelnym Wodzem wojsk polskich, musiałem bardzo często zastanawiać się nad wartością żołnierzy, albowiem każdy dowódca musi w swoim własnym bezpośrednim interesie odczuwać i mierzyć ciągle wartość swych podwładnych. Niema naturalnie mowy, abym, będąc ograniczony czasem, wyczerpał temat i dostatecznie go dziejową naszą pracą poparł. Muszę zatrzymać w tych warunkach uwagę Panów jedynie na fragmentach i urywkach, oraz na najbardziej charakterystycznych cechach legjonistów.

Legjony powstały w dobie historycznej, która będzie jeszcze bardzo długo tematem

roztrząsań dla wielu naszych pokoleń, zajmujących się badaniem tego ogromnego wstrząśnienia całej ludzkości, jakim była wojna światowa, gdyż skutkiem jej było między innemi i ustalenie bytu niepodległej Polski.

Legjony były wojskiem. Nosiliśmy bowiem broń stale i broni tej używaliśmy dla zadania strat nieprzyjacielowi, który naodwrot i nam straty zadawał. Jak dawna jest ludzkość, równie dawne są wojny, równie dawni są żołnierze. Czy kiedykolwiek zabłyśnie przed ludzkością wymarzona idea wiecznego pokoju, tego nie wiem; dotąd mamy za sobą olbrzymią tradycję wojenną i olbrzymią tradycję żołnierską.

Wojska różnią się między sobą zewnętrznymi oznakami, językiem służby, zwyczajami i obyczajami, ujętami nieraz w regulaminy. Różnice te są następstwem przynależności wojsk do takiego lub innego narodu, do takiego lub innego państwa. Byliśmy wojskiem polskim, bośmy się odróżniali zewnętrznymi cechami od wszyst-

kich wojsk, które nas otaczały, bośmy nosili specjalne polskie odznaki zewnętrzne, bośmy mieli język raportów i rozkazów polski, a obyczaje i zwyczaje nawet *bardzo* polskie.

Byliśmy wojskiem polskim w 1914 r., a tem samem w stosunku do swego narodu — nowatorami. Z tego nowatorstwa wypływały jako konieczny skutek pewne cechy, któreśmy sami w sobie wytworzyli i które w nas otoczenie polskie obserwoowało. Ta nasza trwająca dotąd niepomier- nie bujna wesołość i nadmiernie burzliwy sposób manifestowania uczuć wynikają z tego, żeśmy byli nowatorami.

Wojsko polskie, któreśmy zaczynali budować, wypływało nie z woli i nie z chęci narodu polskiego. Nie czynię ani żadnych oskarżeń, ani żadnych do nikogo aluzyj. Traktuję rzeczy obiektywnie, jak historyk. Ostatniem wojskiem polskim, które było bezpośrednio przed nami, było wojsko 63 roku. Poniosło ono klęskę, zostało roz- bite i zgniecione. Przez 50 lat naród pol-

ski nie pragnął wojska. Z tych czy innych powodów nie ważył się na myśl tworzenia własnego wojska, a i w momencie wybuchu wojny światowej również nie miał życzenia i aktu woli, by stworzyć wojsko polskie. Świadectwem tego pozostanie fakt historyczny, że w pierwszych dniach wojny światowej stanęły pod broń dziesiątki, ba setki tysięcy Polaków, którzy zgodnie z prawem państw zaborczych znaleźli się w szeregach, jako żołnierze armij obcych. Dlatego też my, występując na arenę dziejową jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami: chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza.

Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmiennie prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów. Każdy człowiek, wnoszący w życie coś nowego, ma zadanie znacznie trudniejsze, niż wciśnięcie się fizyczne do tak napelnionej sali, jak ta, którą tu widzimy. W dziedzinie, do której nowa myśl, nowy czyn

chce się wedrzeć, istnieją gotowe zdania, gotowe pojęcia, gotowe przesady, gotowe formuły odsuwania rzeczy nowej, rzeczy, która dotąd nie istniała, rzeczy, która jeszcze nie wytrzymała próby życia. Dlatego wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia ze siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej niż przeciętna energii. Bez tej niezwykłej energii i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych.

Drugą cechą, która z tego nowatorstwa wypływa, jest pewna przesada, pewna egzageracja w stosunku do tego nowego zadania, lub nowego pojęcia, które się do życia wnosi. Chcieliśmy dać Polsce żołnierza, którego Polska nie miała i nie tworzyła przez lat 50. Z tego powodu, jak z jednej

strony wysiłki duszy musiały być tu większe, silniejsze i energiczniejsze, tak z drugiej — była w stosunku do tego usiłowania wprowadzenia rzeczy nowych skłonność do pewnej przesady.

Zwracam uwagę na te cechy; ilustrować je będę przykładami, obserwowanemi przez siebie stale i ciągle. Legjoniści odznaczali się jak gdyby pewną przekorą w stosunku do otoczenia, przekorą, która daje siłę i odwagę znoszenia największych ciężarów. Przekornie postanowiliśmy dowieść, iż możemy dokonać o wiele większych rzeczy, niż te, których od nas żądano. Chcieliśmy szczególnie dowieść zarówno sobie, jak i otoczeniu oraz obcym, że polski żołnierz sam, bez żadnej obcej pomocy może powstać, że obca pomoc jest dla nas niepotrzebna i szkodliwa. Ta walka z obcym wpływem, walka z obcymi — w życiu naszym legjonowem prze-wija się jak czerwona nić, tworząc nieraz tragedje ludzi, tworząc nieraz walki wewnętrzne i walki z całym otoczeniem.

Chcieliśmy sami ze siebie wytworzyć te wartości, które stanowią dobrego żołnierza. Walka z ówczesną austriacką komendą, noszącą inne niż my mundury, a zatem przypominającą nam obce wojska, stanowi bodaj jedną z najpoważniejszych stronic historii Legjonów w czasie ich tworzenia się i dalszego życia. Walka ta była wynikiem przekory, wynikiem przesady w stosunku do postawionych sobie zadań. Szliśmy przeciw mniemaniu całego polskiego społeczeństwa, które w nas, wychodzących ze swej własnej szkoły, ze swych własnych usiłowań, nie chciało widzieć ani zdatnych żołnierzy, ani zdatnych dowódców. Dobijaliśmy się o uznanie nas, jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów. Usiłowania te stanowią, zdaniem mojem, najsilniejszy ruchotwórczy czynnik Legjonów.

Wiem, że w ten sposób może rozwiewam pewne legendy, które powstanie i trwanie Legjonów wywodzą z szaco-

wnych uczuć, z wielkich idei. Lecz wielkie idee i wielkie uczucia są świętem, a życie codzienne, życie każdej chwili wymaga innych czynników, jeżeli ma ono utrzymać się na pewnym poziomie i pewnym stopniu. Śledząc uważnie życie legjonowe, przychodzi się do przekonania, że najsilniejszym czynnikiem, najsilniejszym motywem duszy, który przy życiu utrzymywał Legjony i który dał tak wybitne rezultaty, była nasza ambicja wewnętrzna. Ambicja ta żarła ludzi, starających się dowieść swemu otoczeniu i światu, że sami potrafimy zrobić z nas dobrych żołnierzy, wbrew opinii Polski. Cechą bowiem charakterystyczną ówczesnego społeczeństwa polskiego był głęboki brak zaufania do tego wszystkiego, co jest polskie, i głęboka wiara we wszystko to, co niepolskie.

Przytoczę fakty najbardziej charakterystyczne, dowodzące, jak silna była nasza ambicja stania się dobrymi żołnierzami. Chcę być ścisłym pod względem historycznym, nie chcę się opierać na legendach,

lecz na faktach, które sam widziałem, sam obserwowałem, sam analizowałem i jestem pewien, że one były. Dlatego najwięcej przykładów przytoczę z życia I Brygady.

Wojsko, gdy wyrusza na wojnę, zaczyna od pracy, od której myśmy zacząć także musieli, od t. zw. mobilizacji. Zaopatrzenie żołnierza we wszystko, co mu jest potrzebne do prowadzenia wojny, wyznaczenie miejsc koncentracji, najdogodniejszych dla rozpoczęcia zgóry przewidzianych ruchów operacyjnych, jest pierwszą pracą żołnierską, która przez żołnierzy dokonana być musi. Przystąpiłem też i ja w Krakowie do mobilizacji. Lecz, moi Panowie, w jakich warunkach! Nie miałem ani koszar, które są miejscem zbiórki, ani augmentacyjnych magazynów, z którychby można dostarczyć wyekwipowanie dla żołnierzy, nie miałem nawet wygodnej kancelarji, gdziebym sam, albo wyznaczeni przeze mnie ludzie mogli zasiąść do trudnej pracy. Ta szalona robota mobilizowania, gdy nad głową stoi wyznaczony termin, na który trzeba

być gotowym, ta masa szczegółów, które się narzucają i które przepracować trzeba, jest jednym z najcięższych wysiłków oficera i żołnierza. Robota ta wysysa z każdego oficera wszystko, co człowiek dać może, i na podstawie wszystkich wspomnień ludzi, którzy przechodzili przez mobilizację, wiem, że po jej wykończeniu siadali do wagonów śmiertelnie znużeni, o niczem myśleć już niezdolni. Dokonywałem tej pracy w warunkach tysiąc razy gorszych niż moje otoczenie. Wiedziałem dobrze, że jestem obserwowany przez oczy niechętne, które zamierzały wydać sąd surowy o mnie i moich żołnierzach. Liczba, którą mogłem zorganizować, odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie wojennej. Postawiłem oddział w tym samym terminie, w jakim mobilizowały się pułki armji t. zw. regularnej. W cztery dni robota była skończona i wydano rozkazy do marszu.

Przyszedł pierwszy marsz. W myśl rozkazów austriackich władz wojskowych miałem dotrzeć tylko do małego miasteczka

Jędrzejowa. Marsz stukilometrowy, rozłożony na 4 do 5 dni, uciążliwy, bo odbywany pod grozą kontaktu z nieprzyjacielem. Z krótkich słów, które usłyszałem od wojskowych władz austriackich przy odbieraniu ostatecznych informacji, wywnioskowałem, że władze te do mnie i do moich żołnierzy żadnego zaufania nie mają i że, wyznaczając mi ten Jędrzejów, nawet nie wierzą, bym mógł tam dotrzeć. Dlatego może nie wyznaczono nam żadnego dalszego celu marszu. Co więcej, dalej poza Jędrzejów posunąć się nam nie było wolno. Kielce, najbliższe większe miasto, zostało wyznaczone w planie koncentracyjnych sztabów państw centralnych, jako punkt styczny wojsk niemieckich i austriackich. Nie chciano tam widocznie dopuścić jakiegoś „bałaganu“ o charakterze polskim, nie chciano pomiędzy oddziały austriackie i niemieckie wpuszczać do tego styku jakiegoś niewyraźnego elementu, jakim niechybnie byliśmy nietylko dla dowództwa austriackiego, ale i dla wszyst-

kich. Z rozmowy pomiędzy oficerami austriackimi wywnioskowałem, że według ich przekonania dalej poza Jędrzejowem będziemy, mówiąc ich technicznym językiem, „überraunt“ przez austriacką kawalerję. Dzięki przekornej naturze legionowej postanowiłem nie dopuścić, by nas wyprzedzono. Natychmiast wydany został rozkaz jak najszybszego marszu, żeby nie dać się prześcignąć kawalerji, ale odwrotnie, aby nasze piechoty oddziały kawalerję wyprzedziły. Nie powiem, abym chciał teraz zachwalać swe czyny; miały one w sobie dużo lekkomyślności i nieostrożności. Plan jednak został w czyn wprowadzony. Strzeleckie oddziały awangardy weszły do Kielc pierwsze i dopiero później zjawiała się awangarda kawalerji w postaci szwadronu dragonów austriackich. Byliśmy w Kielcach pierwsi.

Wieczorem tego samego dnia, w którym weszliśmy do Kielc, nastąpił kontakt z nieprzyjacielem znacznie liczniejszym i rozporządzającym w porównaniu z nami prze-

pychem ekwipunku i uzbrojenia, armatami i karabinami maszynowemi, których myśmy nie posiadali.

Nastąpił natychmiastowy bój. Nie dowodziłem nim, zostałem bowiem odwołany na tyły dla omówienia spraw politycznych i komendę tej awangardy sprawował w mojem zastępstwie dzisiejszy generał Sosnkowski. Awangarda, licząca 500 strzelców, przyjęła bój, którego nasi sojusznicy, czyli szwadron austriacki rozumnie nie przyjął i cofnął się, z czego oczywiście nie można mu było czynić zarzutu. Sosnkowski wdał się w bój, mając przeciw sobie całą dywizję kawalerji. Bitwa trwała niedługo; Sosnkowski okazał się rozważnym i wołał nakazać odwrót. Pod naporem całej dywizji nieprzyjacielskiej cofa się on, ale cofa się powoli. Wracając z Krakowa w drugim dniu odwrotu, spotkałem oddział strzelecki w Chęcinach, oddalonych od Kielc tylko o 15 km.

Zatrzymuję się na tem pierwszym wystąpieniu Legjonów na arenie żołnierskiej

nie dlatego, abym siebie miał wywyższać, ale dlatego, że ten pierwszy fakt, którym zaczęliśmy naszą pracę żołnierską, został natychmiast uznany nie przez polskie otoczenie, lecz przez dowództwo austriackie. Nigdy nie zapomnę, jak jeden z oficerów, który z obowiązku służbowego nas obserwował, mówił mi, że w sztabie armji austriackiej nigdy nie przypuszczano, by oddziały nasze okazały się zdolne do takiego marszu. Uważano, iż ten, że tak powiem językiem austriackim, „cywilbagaż“ nie jest zdolny do zrobienia marszu nawet do Miechowa i musi się rozsypać po drodze. To też marsz nasz był dla władz austriackich niespodzianką.

Później, gdy w Kielcach stały obok oddziałów naszych i oddziały austriackie, ta sama przekora i chęć ambicji, która mnie wraz z moimi żołnierzami ogarnęła, kazała mi zająć na swą kwaterę pałac gubernatora. Zgodnie ze zwyczajami wojennymi najokazalszy budynek zajmuje na kwaterę ten, kto jest rangą najwyższy. W ten

sposób siłą faktu, bo wyrzucić mnie z pałacu nie ośmielono się, zdobyłem pozory wyższości. To też Austriacy i Niemcy przychodzili do mnie z pokorą, uważając widocznie, że skoro mieszkam w pałacu, to tem samem jestem już wyższy. I nie mogę zapomnieć goryczy, jakiej doznałem, gdy, przejeżdżając później przez Kielce, tłukłem się na przedmieściu, gdy inni ten pałac zajmowali.

Z Kielc trzeba było się wycofać. Wziąłem na siebie rozmyślnie najtrudniejszą pracę żołnierską, pracę arjergardy, pracę osłaniania odwrotu. Jest to najtrudniejsze zadanie, jakie spaść może na żołnierzy i dowódcę. To owa przekora i ambicja legunów pchała mnie do tego, aby wziąć na swoje barki najbardziej odpowiedzialną robotę. Przy cofaniu się na Wisłę, podczas przeprawy, stale zatrzymywaliśmy odwrot. Zatrzymywaliśmy ponad miarę zakreszonego czasu. Przeszliśmy przez most w Szczuczynie pod grozą, że nam go ztyłu spalały. Rozmyślnie nadużywałem sił mło-

dych żołnierzy dlatego, że szybciej dąży-
łem do triumfu braci legionowej, że szyb-
ciej dążyłem do uznania naszej własnej,
z nas samych powstałej, pracy żołnierskiej.
Pamiętam smutne przejście przez most.
Ziemia obiecana, na której obiecywaliśmy
sobie wyrość w większą siłę, została opu-
szczona. Dano nam rozkaz osłaniania od-
cinka Wisły w łączności z całym mnóstwem
wojsk innych. Rozkaz ten doskonale pa-
mietam. Dla podniesienia dzielności wojsk
austriackich głosił on, że wróg wtargnął
w granicę „ojczyzny“, polecał obronę słu-
pów granicznych austriackich. Dla zachę-
cenia nas, legionistów, dodano do tekstu
niemieckiego ustęp polski, stwierdzający
i dla nas wagę „granicy“ „ojczyzny“, któ-
rą była Wisła, dzieląca dwa zabory. Na
szczęście duch rozkazu uprawniał mnie do
nowych niebezpiecznych przedsięwzięć. Na-
kazywał on prowadzenie obrony ofenzy-
wnej, t. zn. dopuszczał akcję na lewym
brzegu Wisły, pozwalał przerzucać wojska
przez rzekę zpowrotem do tego kraju, któ-

ry nie jest jakoby naszą ojczyzną. A z fortecy krakowskiej nadszedł rozkaz, by zniszczyć wszystkie środki przeprawy przez Wisłę. Naskutek tego rozkazu zaraz z prawa od nas spłonął most w Szczuczynie. Staiałem w obronie tych środków przeprawy przez Wisłę, chcąc bowiem przejść rzekę, trzeba było mieć możność przeprawy. Pamiętam, jak w tym właśnie czasie ówczesny porucznik a dziś pułkownik Dreszer, nie mogąc doczekać się jakiegokolwiek środka przeprawy, rozebrał się wraz z patrolem do naga i z bronią w ręku przeprawił się na drugi brzeg Wisły. Do-
tąd czyn ten wspominany jest z dumą i do-
tąd jest on tematem żartów, że Dreszer ma dziwny pociąg do rzeki, że przez każdą rzekę wplaw się przeprawia, chociaż ma most obok. I ten mały epizod świadczy o tej dziwnej przekornej naszej chęci wykazania swej wartości żołnierskiej, wartości nieprzeciętnej, zdatnej do czynów nadzwyczajnych. Jeżeli bowiem jako nowatorowie chcieliśmy stwarzać rzeczy nowe, to

musieliśmy dawać dowody, że stać nas na większe wysiłki niż normalne.

Powiem tu jeszcze o pierwszym wrażeniu na widok ran, tych rzeczy zwykłych zresztą i codziennych na wojnie. Moi Panowie, wśród legjonistów rany były rzeczą nieledwie codzienną, ale to pierwsze wrażenie, jakie odnosi się na widok rannych, jest niezmiernie silne, chociażby rany były nawet lekkie. Ta pierwsza krew, te pierwsze cierpienia rannego, pierwsza pomoc, ta chwila, gdy się widzi człowieka okrwawionego i słyszy wokół strzały — ma w sobie coś niezwykłego. Pamiętam, gdy świeżo przybyły bataljon przeprowadzał się przez Wisłę, spotkałem wracających pierwszych rannych. Panowie, ja w twarzach rannych nie widziałem smutku, nie słyszałem jęku! Widziałem triumf i dumę, że są żołnierzami polskimi, że krew przelewają i tem swej służby żołnierskiej dowodzą. Pamiętam młodego chłopca, którego drasnęły w głowę trzy kule karabinu maszynowego. Szedł swobodnie, krwią zla-

ny. Gdym go spytał: „Cóż to wam, chłop-
cze?” — Odpowiedział wesoło i dumnie:
„A w głowę mnie trafiło, głowa mocna,
wytrzyma”.

Po tych pierwszych wrażeniach wojny
szły jedne za drugimi ciężkie chwile. Wi-
działem złamane charaktery, złamane ser-
ca od jednego ciężaru i nacisku, serca
w których wojna zdusiła wszystko to co
było w nich najlepszego, zrobiła z człowieka
odważnego — podłego tchórza, z człowie-
ka silnego — płaczącą babę. Przeszliśmy
tyle rzeczy, tyle nauk, tyle doświadczeń.
Przyszwał koniec 1914 roku. Po ciężkich bo-
jach, po przegranej bitwie wojska austrjac-
kie cofały się rozbite. Powierzono mi
znów zaszczytną misję, abym stanął w arjer-
gardzie, gdyż w ciężkich chwilach byliśmy
my, żołnierze polscy, najpewniejszą jednost-
ką, na którą można było włożyć najwięk-
sze ciężary. Pamiętam mękę odwrotu, no-
ce nieprzespane, lub spędzone przy stole,
gdy zasypiało się momentalnie tak, jak
się siedziało na krześle. Pamiętam dokład-

nie, jakie wrażenie na mnie sprawiały te cofające się szeregi bataljonów przerzedzonych, żołnierzy kaszlących jak owce, robiących wrażenie szpitali pędzonych przez lasy. Bataljony topniały. Oficerowie śmiertelnie znużeni, przemęczeni do niemożliwych granic pod wrażeniem pierwszego wielkiego boju, gdzie grała artylerja, gdzie sypały się granaty. Widziałem, jak serca ludzkie się łamały. Widziałem żołnierzy, niegdyś pewnych siebie i hardych, a obecnie ukrywających się w lasach i czekających hańby poddania się do niewoli.

W całym tym odwrocie z moich żołnierzy byłem dumny, albowiem mogłem zrobić z nimi wszystko, co chciałem. Mogłem po skończonym odwrocie spokojnie dać zaraz rozkaz marszu naprzód. Gdy komenda austriacka zwróciła się do mnie z prośbą, abym moich żołnierzy naprzód prowadził dlatego, że nikt z regularnej armji naprzód już iść nie chce, byłem jedynym, który z kilku bataljonami śmiało poszedł szukać nowego kontaktu z nieprzyja-

cielem. A za mną poszli moi dumni chłopcy, dumni, że tak wielką wartość żołnierską posiadli, poszli ze śpiewem, pogardę rzucając austriackiemu otoczeniu.

Pamiętam, że w tym czasie widziałem jeden obraz Kossaka. Artysta ten służył wtedy przy I. armji austriackiej, do której i myśmy należeli. Obraz nosił tytuł: „Legjonista“ czy „Jeńcy“. Przedstawiał on młodego chłopca w mundurze legjonowym, dumnie opartego o karabin. Za nim w szarych szynelach kilku jeńców rosyjskich, przewyższających o głowę młodego żołnierza o dziecinnej twarzy i dumnych oczach patrzących w dal. Obrazek — jak wiele innych. Kossak w rozmowie ze mną stwierdził, że dzieło to namalował, podpatrzywszy tę scenę z życia. Zwróciłem specjalnie uwagę na wyraz twarzy młodego żołnierza z obrazu. Było w niej widoczne podobieństwo do wyrazu twarzy i oczu, jakie codziennie spotykałem u moich żołnierzy. Oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych

oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji — znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej.

Minęło kilka miesięcy, mieliśmy już dobrą markę, mieliśmy uznanie. Legenda i sława wzięły nas na swe skrzydła i niosły naprzód. Jeśli jest w legendach coś fałszywego, to one naprzód daleko nie zajdą, wstrzymają się u wrót serca. Nasza sława i legenda przed temi wrotami się nie zatrzymały. Poszło przedewszystkiem za nami to, co jest najpiękniejsze w kulturze ludzkiej, — poszła sztuka. Moi Panowie, poezja twórcza należy do tych dziedzin ducha, które, mówiąc słowami Słowackiego „owija się, jak bluszcz koło dębu“, owijają się jak bluszcz koło wielkiego wysiłku ludzkiego. Im większy wysiłek, im większa praca ducha ludzkiego, tem silniej szuka poezja i sztuka dla swej twórczości motywów z tego nienikczemnego życia. Przedewszystkiem twórczość o charakterze tak zwanym ludowym buchnęła, jak gdyby ży-

wym płomieniem, z tego źródła nowej mocy, nowej twórczości, nowego wysiłku ludzkiego, który się uosabiał w Legjonach. Nie znam epoki bardziej udatnej, bardziej silnej pod względem twórczości poezji żołnierskiej, jak nasz okres legjonowy. Dotąd piosenka legjonowa jest nabytkiem całego narodu. Dotąd żołnierz w wojsku polskim, gdy Legjony już minęły, śpiewa nasze pieśni; śpiewa to, co grało w naszych duszach, żyje, bawi się, robi to, cośmy ongi robili na ziemiach polskich. Kulturę polską ożywiły pieśni żołnierskie, wycisnęły i wyciskają tyle obcych nabytków, przejętych przez polskich żołnierzy z armij obcych. Jeżeli pieśń ma jakieś znaczenie, jeżeli to, co jest piękne, co odpowiada głębokiej potrzebie duszy, ma jakiś wpływ, to pieśń żołnierska jest tem wielkiem, trwałem ogniwem, które zapewnia życie Legjom, dopóki istnieje żołnierz polski. — Tyle tych pieśni! Można śledzić historję Legjonów, studjując ich pieśń. Każdy bataljon miał swoje zbiorowo układane pieśni, do któ-

rych ciągle dorzucał nowe słowa, dodawał dowcipy. Tworzyła się ta pieśń tak, jak ongiś tworzyła się pieśń ludowa. Ta pieśń żyje dotąd, jako rzecz nabyta, jako rzecz żywa i trwała.

Weźmy malarstwo. Nie wiem, czy jest wogóle większy malarz polski, który sił swoich nie próbował w dziedzinie życia legjonowego, któryby jak ten bluszcz nie oplątywał się koło życia, świadczącego o sile, o energii ludzkiej i bezwiednie dlatego pociągającego sztukę, bezwiednie pociągającego piękno.

A cóż mówić o kobietach? Nie czekam w tym wypadku uśmieszków, świadczących o brudzie duszy. Mówię o kobiecie, jako o pięknie życia. Mówię o kobiecie, jako o istocie, która daje często lepsze, szlachetniejsze pobudki, która daje radość życia mężczyźnie. Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legunową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem przeciw własnemu

społeczeństwu, żądając od niego, jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza. Wśląd za nami, trop w trop za naszym żołnierzem idą kobiety, oczarowane pięknem duszy, pięknem wartości moralnej, którąśmy z siebie wydobyli. Śmiać się można z przesadnych nieraz zachwyków i adoracyj, jakie nam towarzyszyły. Lecz są one świadectwem głębokiej wartości wewnętrznej tego przejawu życia polskiego, jakim byliśmy.

Moi Panowie, to piękno, ta poezja życia, którą myśmy stworzyli, miała pewne cechy, które narzucały się otoczeniu w sposób nieprzeparty, tak nieprzeparty, że chcę wskazać na żywe przykłady oddziaływania tego uroku. Szliśmy krajem, gdzie, gdy mówiono „nasze“ wojsko, to mówiono o tych, którzy nas zabijali. Tam więc, gdzie nie szło o polityczną stronę naszego ruchu, gdzie nie odgrywał roli stosunek do t. zw. idei legjonowej, tam, gdzie przeciwnie, widoczna była niechęć do nas, niepokojnem okiem szukałem w duszy pol-

skiej śladów wpływu piękna, któreśmy nieśli, szukałem tych śladów, badając i pytając. Pamiętam postoje po wsiach polskich, postoje dłuższe i krótsze po długich skomplikowanych naszych marszach i kontrmarszach. Za każdym razem badałem uważnie, jaki ślad w ludziach zostawia nasz pobyt. Przychodzili do mnie, jak zwykle do władzy, ludzie ze skargami. Gdzież bowiem jest żołnierz, który zadowolonym okiem nie śledzi takich stworzeń, jak kura i gęś? Gdzież jest żołnierz, który bodaj okiem pożądlivem nie spogląda na konia? Gdzie jest żołnierz, który dowcipem lub gwałtem nie wyciągnął od gospodyni jedzenia? Takimiż byli i moi żołnierze. To też nic dziwnego, że ludność przychodziła ze skargą lub prośbą, żeby takich rzeczy nie czyniono, żeby w taki, czy inny sposób szkodę wynagrodzono, lub chociażby kwit jakiś wydano. Za każdym razem zapytywałem, za każdym razem badałem, jaki jest stosunek ludności do mego żołnierza. I tak żywo pamiętam,

jak w każdej nieledwie wsi kobieta, przychodząca ze skargami, zasłoniwszy się wstydliwie fartuchem, mówiła: „Takie wesołe wojsko“. Ten urok wesołości, ten urok żartu, ten urok żołnierzy idących na śmierć z uśmiechem na ustach, w ostatniej chwili obejmujących w uścisku dziewczynę, w ostatniej chwili rzucających słowa wzgardy dla tchórza, to jest typ, jaki się wytworzył w Legjonach.

Pamiętam oto takie np. obrazy. Było to w kraju, który obecnie wchodzi w granice naszej Rzeczypospolitej, lecz w którym, ściśle mówiąc, Polaków było względnie niewiele. Jest to Polesie Wołyńskie. Staliśmy tam bardzo długo, poznaliśmy ten kraj dokładnie. Ludności było tam bardzo mało, zostały jakieś niedobitki osiedli ludzkich, które i tak topniały pod gorącym oddechem wojny. Niknęły sioła, niknęli ludzie. Zniszczenie na całej linii. Smutny obraz ożywiało tu i owdzie na drodze spotkane drzewko owocowe kwitnące, mimo iż śladu osiedli ludzkich w okolicy tej już

nie było. Zostało jako świadectwo, że gdzieś tu mieszkał człowiek, że gdzieś tu człowiek pracował, że gdzieś tu pot swój do ziemi wlewał, z którego wykwił ten kwiat owocowy. I pamiętam, jaką radość i życie wносиły do tego pustkowia najbujniejsze charaktery, najweselsze bractwo, kochankowie wszystkich kobiet, drapieżni na cnotę niewieścią, młodzi chłopcy ułańscy. Pamiętam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów t. zw. Beliniaków. Zdumiony byłem tem, co się tu dzieje. Jest tu życie! Nawet kury chodzą, co było zjawiskiem zupełnie niesłychanem. Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu jak na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie — w ponurym obrazie wojny. To ułani polscy zachowali wieś od zniszczenia, to ułani polscy w smutki wojny wnosili radość.

Przejdę do innych przejawów pracy żołnierskiej. Mam na myśli stosunek ułana do konia. Czytałem całe tomy literatury, traktujące o tem, jak jazda powinna konie szanować i jak trudno ludzi do tej cnoty żołnierskiej doprowadzić. Oficer musi ciągle czuwać, by doglądano koni. Gdy zmęczony jeździec stanie na odpoczynku, na oficerze leży obowiązek przypominania ułanowi, że koń idzie przed jego potrzebami snu czy wytchnienia. Dla naszej kawalerji te grube tomy nauk i ostróg, spisanych na podstawie wojennych doświadczeń narodów, były niepotrzebne. Nasz ułan legjonowy konia kochał więcej niż kobiety, a kobiety kochał szalenie. Konie były skarbem duszy ludzkiej, konie były towarzyszami żołnierza. Wygoda konia obchodziła go więcej niż życie i rany własne. Konie ratował od zguby, z końmi się bratał, robił z nich jakąś, wyśmiewaną zresztą przez wszystkich piechurów, poezję końską. Ułan wydobywał ze siebie najwyższe wartości wojskowe, by sława ułańska, sława jazdy

polskiej żyła po wieki. Ułan, któremu piechur krzyczał: „Ułan! drogi nie znasz, zapytaj się konia“ — ten biedny ułan, przedmiot kpin i żartów innych rodzajów broni, cackał się ze swoim koniem, cieszył się nim jak dzieckiem, tak, że każdemu innemu wojsku za wzór żołnierza służyć będzie. Na dowód zabawny obrazek. Idą ułani do kuchni w porządku po jadło. Spostrzegam z przerażeniem, że jeden z żołnierzy idzie po jadło z putnią, z której poi konia. Zawołałem komendanta szwadronu i robię wymówki, że żołnierz je obiad z putni, z której pije koń, stworzenie stojące niżej od istoty ludzkiej. Na to komendant szwadronu odparł, że jest to wielki honor dla ułana, jeżeli jada z tego samego naczynia co jego koń. Ta przekorna przesada w trosce o konia raz jeszcze stwierdza tę charakterystyczną cechę, jaka się wytworzyła w psychologii naszego żołnierza.

Znałem w Legjonach chłopców, którzy w tornistrach nosili bardzo cudaczne rzeczy. Nigdy nie mogłem zrozumieć tej

manji zbierania rupieci w rodzaju odłamków szrapneli i noszenia tych ciężarów, kiedy i tak już ciężka była normalna zawartość tornistra. Pasja ta doprowadzała ludzi do tego, że woleli wyrzucać środki żywności, aby tylko nie pozbyć się swoich dziwacznych pamiątek. Pamiętam niezapomniane dla mnie obrazy, gdy żołnierze, idący pod ogniem artylerji do kuchni, ukrytej w lesie, przy każdym strzale armatnim przystawali, rozglądali się po gapiowsku dokoła i pytali się siebie, gdzie pociski upadły. Krzyczeć trzeba było na nich, aby się nie narażali tak głupio na strzały. Była to ciekawość dziecka — żołnierza, ciekawość człowieka, szukającego nowych doświadczeń; prowadziła ona do najbezsensowniejszych rzeczy, przeczących instynktowi samozachowawczemu. To też nigdy w Legjonach nie brakowało ochotników do akcji najryzykowniejszych; zawsze było ich za wielu i zawsze trzeba było robić wybór, krzywdzący tych, którym najtrudniejszych robót nie wyznaczano.

Muszę wspomnieć również o zachowaniu się naszych rannych i chorych. Lekarze obcy bardzo często mówili mi: — Co tam jest właściwie w tych waszych Legjonach? Żołnierze niedoleczeni, żołnierze, których lekarze zatrzymywali w szpitalu, wracali do pułków, wracali do kompanij, wracali do szwadronów, uciekali poprostu ze szpitali do wojska, szukając na nowo tych ran, szukając na nowo triumfów żołnierskich. Pamiętam moją rozmowę z jednym z wybitnych lekarzy wiedeńskich, odbywających w charakterze chirurga inspekcję szpitali. Zastanowiło go to, że legjoniści znoszą operacje znacznie łatwiej, przechodzą rekonwalescencję znacznie szybciej, niż wszyscy inni żołnierze. Tłumaczył to tem, że przychodzą oni do operacji w znacznie lepszym nastroju, niż ogół żołnierzy austriackich. Jedyńcem marzeniem naszych rannych i chorych było jak najprędzej uciec ze szpitala, uciec, jak mówili, „do domu“. Domem tym był pułk,

domem tym była kompanja, domem tym byli towarzysze broni.

Legjony miały zdolność asymilowania — często zupełnie mimowolnego — żywiołów obcych. Oto zabawny przykład takiej asymilacji. Pewien Wiedeńczyk przyplątał się w jakiejs katastrofie wojennej do jednego z bataljonów I. Brygady i stał się „dzikim“ legjonistą. Po pewnym przeciągu czasu nie chciał w żaden sposób nas opuścić i dopiero, bawiąc pod Wiedniem na urlopie, został aresztowany za wymyślanie Austriakom od urodzonych tchórzy, czego nauczył się od swych legjonowych kolegów. Ta dziwnie silna asymilacja, która porywała za sobą naiwne dusze, robiła ni stąd ni zowąd z człowieka obcego legjonistę tak wiernego, że, będąc rannym, wracał z ambulansu natychmiast do szeregów, twierdząc, że woli umrzeć z kolegami w polu, niż siedzieć w szpitalu, skoro ma tylko lekką ranę. Drugi fakt asymilacji jest jeszcze ciekawszy. Zabłąkał się jakiś wirtemberski żołnierz. Pułk jego poszedł

gdzieś dalej, a on, szukając go, pozostał wtyle i przyczepił się do biwaku legjonowych saperów. Ci przebrali go, i odtąd chodził w maciejówce z orzełkiem. A ponieważ saperzy potrzebowali wołów roboczych, przeto chętnie pozostawili go u siebie. Wirtemberczyk był również bardzo zadowolony i twierdził, że trafił do świetnego i wesołego wojska. Zasymilował się tak dalece i tak głęboko, że zapomniał o prawie niemieckiem, karzącem za dezercję. Bawił u nas przeszło pół roku i wówczas zaczął pisać listy do rodziny, które go zdradziły. Do Komendy I. Brygady przyszło nagle od pułku wirtemberskiego żądanie wydania owego żołnierza dla odpowiedniego ukarania.

Ten sam proces asymilowania odbywał się nie w jednej Pierwszej Brygadzie; był on nawet może silniejszy w Drugiej. Tam było zawsze mniej politycznych motywów, samodzielnie przez legjonistów wysnutych, nie było tam mnie, jako przedstawiciela politycznej przekory w stosunku do małych

ambicji polskich w społeczeństwie. Natomiast bardziej jaskrawo, bardziej wyraziście wypiastowano tam myśl o żołnierzu, zajmującym się prawie wyłącznie swym fachem, i przeróbką siebie na dobrego żołnierza. W Trzeciej Brygadzie, sformowanej później niż inne, ludzie wypracowali typ pośredni, bardziej zresztą do typu Pierwszej Brygady zbliżony.

Zyskaliśmy wkrótce sławę dobrych żołnierzy, a przechodząc przez rozmaite coraz to różnorodniejsze koleje, doskonaliliśmy się coraz bardziej. Natomiast komplemensem stałym i ustawicznie w stosunku do nas powtarzanym był zarzut „undyscyplinierter“. Pozwolicie, Panowie, że przedstawię taki obrazek braku dyscypliny, który zdarzył się właśnie tutaj, we Lwowie. Było to po ciężkich bojach wołyńskich, kiedy zachorowałem na influencję i tutaj, pod Lwowem, odbywałem rekonwalescencję. Wtedy miałem sposobność być podejmowanym przez komendanta miasta. Spotkałem się na przyjęciu z rozmaitymi ofice-

rami. Jeden z nich opowiadał mi o fakcie następującym: o północy, t. zn. w porze, w której porządni żołnierze nie chodzą po mieście, spostrzegł na ulicy Sykstuskiej dwóch żołnierzy, idących naprzeciw niego. Zdaleka zauważył, że są to legjoniści. Spostrzegł również, że są „zalani“ i chwieją się w różne strony. — Używając tutejszego terminu, „batjary“ lwowskie służyli i w I-ej Brygadzie, i miewali najrozmaitsze urlopy, więc spędzali je nie gdzie indziej, jak we Lwowie. — Zrównawszy się z oficerem, nie tylko honorów mu nie oddali, ale go jeszcze, przechodząc, potrącili. Oficer począł im robić wymówki: „Legjonistą jesteś, jak ci nie wstyd, po nocy pijany się włóczysz? Spotykasz oficera, honorów mu nie oddajesz i jeszcze go potrącasz?“ Na to jeden z żołnierzy, zmierzwszy oficera z góry na dół, powiedział: „My z I Brygady“, — „No i cóż z tego — odparł oficer — żeś z I Brygady. Jakież z ciebie żołnierz? Wstyd Brygadzie robisz“. „Wstyd Brygadzie“ — powtórzył legjonista i począł długo szukać cze-

goś i szperać w kieszeni spodni. Wreszcie wydobył z niej, nie noszony nigdy na piersi, austriacki złoty medal waleczności i, pokazując go oficerowi, zapytał: „Wystarczy?” Po chwili wyciągnął z drugiej kieszeni żelazny krzyż pruski i powtórzył poprzednie zapytanie: „Wystarczy?” Potem, wskazując towarzysza, rzekł: „Ten ma to samo. Chodźmy”. To brutalne zachowanie się wobec obcych oficerów było istotnie nawykieniem legunów. Nie będę temu przeczył. Oto drugi obrazek z tego samego okresu czasu. Przez otwarte okno słyszę zmianę warty pod mojem mieszkaniem i słyszę cichy rozkaz: „Stać przy mieszkaniu, wszystkich puszcząć, swoim oficerom honory oddawać, austriackim — nie”.

Nie powiem, Panowie, by ten sposób postępowania był dobrym zwyczajem. Był to jeszcze jeden wynik owej przekory legunów, którzy, zdobywszy sławę, starali się akcentować na każdym kroku, że całą swą wartość zawdzięczają własnej pracy i nie potrzebują nieproszonych nauczycieli.

Scysje z obcymi oficerami wywoływane były gwałtownem narzucaniem nam nauczycieli, które rodziło stale niechęć w stosunku do wojska austriackiego, a specjalnie do jego oficerów. Wyrażała się ona nieraz w formie bardzo ostrej i niedopuszczalnej. Stąd zarzut „undiszipliniert“. Zwracałem uwagę na te objawy i raz wydałem rozkaz: „Od dziś oddawać honory wszystkim oficerom, bez względu na to, jakimi są; nie chcę mieć żadnych skarg“. Rozkaz ten był wypełniony, a żołnierze stali się przesadnie grzeczni, robiąc „Stellung“ tak wspaniały, że radowały się serca oficerów austriackich, przekonanych, iż to ich wpływ tak umoralnił legunów. Dyscyplinę, to dobrowolne posłuszeństwo, zawsze w Legjonach uzyskać mogłem. Rozkaz był rozkazem, służba służbą. Zarzut „undiszipliniert“ tyczy się czegoś innego. Tyczy się pewnego lekceważenia form życia codziennego, lekceważenia wywołanego ciąglem brataniem się ze śmiercią.

Zawód żołnierski to praca w nienatu-

ralnych warunkach. Wytwarza on u żołnierzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci. Umierają — co prawda — wszyscy ludzie. Ale gdy żołnierz idzie na śmierć, to znaczy, że śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla niego zjawiskiem stałym, codziennym. Nie wiem, Panowie, czy ci, którzy nigdy żołnierzami nie byli, zdają sobie sprawę z tego, jak niełatwe jest ciągle ze śmiercią obcowanie. To codzienne, zgodne z obowiązkiem żołnierza chodzenie na śmierć, ten wysilek przywyknienia do niej, to bratanie się z śmiercią wyciska w duszy głębokie ślady, wywołuje zmiany w charakterze. Człowiek, który ma jutro umrzeć, ma pewien specjalny stosunek do rzeczy. Nie ceni pewnych wygod, bo jutro wszystkie wygody mogą zniknąć. Nie ceni co prawda wygod innych ludzi, lecz swoje również ma zanic. W czasie długiego stykania się i bratania się ze śmiercią, wygoda staje się rzeczą taną, staje się rze-

czą, nad którą się łatwo przechodzi do porządku dziennego. Życie dobrego żołnierza staje się ciągłą i ustawiczną loterją. Skutkiem tego jest lekceważenie przez niego spraw dobrobytu materialnego w znacznie silniejszym stopniu, niż to się spotyka w życiu innych ludzi.

Życie wojenne, życie w nienormalnych warunkach, żłobi jeszcze inną cechę w duszy żołnierza. Jest on mężczyzną, który pozostawił gdzieś w dali życie rodzinne. Zadowalać się musi często dorywczym uściskiem, nieraz brutalnie zdobytym. Im bardziej jest skazany na te dorywcze uściski spotkanej gdzieś w kącie kobiety, tem bardziej rodzi się w nim tęsknota za uśmiechem szczęścia, które niesie życie rodzinne. Radość i uśmiechy życia rodzinnego, radość i uśmiech dziecka tak go rozczulają, że wszystkim paniom radziłbym wychodzić zamaż za dobrego żołnierza, gdyż jest prawie pewne, że można nad nim panować jednym uśmiechem.

Wreszcie jeszcze jeden znamieny rys

dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek żołnierski, wykonywuje pracę nieraz bardzo mało znaczącą i podrzędną. Żąda jednak zawsze bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstw, kochają i wymagają dla nich czci.

Proszę Panów, ten typ dobrego żołnierza znajdziemy wszędzie, gdzie było wojsko i gdzie pod dobrym wodzem ruszało ono na zwycięstwa.

We Francji, w najwybitniejszej jej epoce, gdy żołnierze służyli pod największym wodzem świata, pod Napoleonem, powstaje typ wiarusa napoleońskiego. Lekkomyślny on jest w życiu codziennem, nie dbający o pieniądze, przechodzący do porządku dziennego nad materialną stroną życia, wesoły i swobodny, szukający szczęścia, szukający wrażeń uprzyjemniających mu życie, zawsze gotów jednak stanąć odważnie i twardo w obronie swego honoru i w obro-

nie swego cesarza, potem ciągle konspirujący, by swego wodza „z niewoli“ wydobyć. Czy pamiętacie pieśń o dwóch grenadjerach Heinego. Pieśń nie przez Francuza napisaną. Tem właśnie charakterystyczniejsza, że ten typ wiarusa napoleońskiego siłą swych rysów narzucał się i pociągał pióra obcych. Dwaj grenadjerzy powracają z niewoli i dowiadują się po drodze piorunującej wieści: ich cesarz w niewoli. Zdawałoby się, że niczego innego pragnąć nie powinni, jeno powrotu do rodziny, której tak dawno nie widzieli. A jednak całe ich marzenie ześrodkowane jest w chęci ujrzenia i oddania honorów temu, który ich prowadził do boju — cesarzowi. Ten typ dobrego żołnierza, tego napoleonowego wiarusa, tych oficerów, których setkami wyrzucano z królewskich wojsk po Restauracji, których trzymano pod dozorem policji, jako niebezpiecznych, utrwalił się w literaturze francuskiej i znalazł swój wyraz w postaciach bohaterów licznych powieści.

U sąsiedniego narodu podobnie. Mamy tam epokę przewag wojennych, epokę Sedanu, epokę walk, rozbrzmiewających zwycięstwem Prus. I oto znajdziemy tam prawie ten sam typ dobrego żołnierza, z dodatkiem rysów rasy niemieckiej. Typ surowszy, mniej kulturalny. Żołnierz ten zajmuje przeważnie skromne stanowisko w państwie, lecz surowemi oczyma wymaga od swego pana szacunku dla siebie i dla krzyża, który nosi na piersi. Tak samo, jak wiarus napoleoński, jest czuły na wdzięki niewieście i czuły na uśmiechy dziecka. I znowu w niemieckiej literaturze spotyka się te typy, które zbratały się ze śmiercią, które śmierć nazywały siostrą, z nią kładły się i wstawały z łoża. To typy ludzi, którzy nie cenią wartości dobrobytu i majątku, ale dusze wierne honorowi własnemu i honorowi swego woźdźdźdź. Na takich podoficerach, pozostających nieraz na bardzo skromnych stanowiskach, budowana była siła i trwałość państwa niemieckiego.

Jeżeli przejdę do literatury rosyjskiej, to znajdziemy tam podobny typ dobrego żołnierza. Oswojony ze śmiercią, zbratany z nią, a zarazem lekkoduch, włóczący się po świecie, przepijający i przegrywający z lekkim sercem cały swój żołd, wymagający jednak szacunku dla siebie i dla cara, w imieniu którego walczył. Przypominam sobie jednego z pisarzy rosyjskich, Uspieńskiego, który z wielkim talentem nakreślił ten typ rosyjskiego wiarusa. Przez dwadzieścia pięć lat służy on w wojsku, walczy na wszystkich polach, pełni służbę wzorowo... i filozofuje. Bił nieprzyjaciół, to prawda, ale ci, z którymi walczył przez całe życie, to mimo wszystko poczciwe, zacne ludziska, i te Francuzi, i te Niemcy, i te Polaki, i te Turki, chociaż poganie. Tej względności wobec nieprzyjaciół nabył w obliczu śmierci.

A w dawnych powieściach polskich ileż to sylwetek dobrych żołnierzy! Wzorami dla autorów byli ludzie żywi, postacie, którym na klepsydrach wypisywano ongiś:

„b. oficer, czy podoficer b. Wojsk Polskich.“
Są oni trochę bardziej rzewni, bardziej sentymentalni, niż Francuzi, czy Niemcy. To typy wiarusów, służących przy dworze i zaprawiających rękę młodego panicza do szabli, opowiadających niezwykle dzieje przygód wojennych, których byli uczestnikami. To typy starych ordynansów oficerskich, co wrócili z wojny razem ze swym panem, a i teraz służą mu wiernie. Słudzy, nie pozwalający jednak sobie lekceważyć, bo na ich piersiach krzyż zasługi. I oni, jak wszyscy dobrzy żołnierze, szukali szczęścia i uśmiechu życia, lekkomyślnie lekceważyli dobra materialne, a zachowali przez całe życie przywiązanie dla przyjaciół i naiwną wiarę Don Kichota, rycerza sprzeciwiającego się zepsuciu i łajdactwu.

Wszędzie gdzie w długich wojnach i ciężkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on swemu narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego łatwo nad materialnymi wartościami życia, przenoszącego po-

nad nie wartości moralne. Typ człowieka, łatwo znoszącego zmienność losu, byle mieć możność zachowania najlepszej części swej duszy — szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stałe poszukiwanie zgody ze swoim sumieniem jest ich cechą nabytą w codziennem brataniu się ze śmiercią. Jak ongiś, na polach bitew, przelewali krew dla honoru swego sztandaru i na rozkaz swych wodzów, tak w pracy pokojowej zmieniają honor sztandaru na honor swej pracy, na honor swej nowej służby, dla której wymagają szacunku, jako dla części głównej siebie samych. Szukają przytem radości życia, uśmiechu szczęścia, do którego tęsknili tak długo w pracy wojennej, w robocie bitewnej.

Legjony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić będzie więcej, niż te, czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafi-

liśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przy-
mierającego głodem czasem, wędrującego
borem, lasem, po ziemi ojczystej. Zapomniane, odpędzane, nieraz upiorne widmo
lat ubiegłych naprzekór światu, naprzekór
swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając
Polsce.

